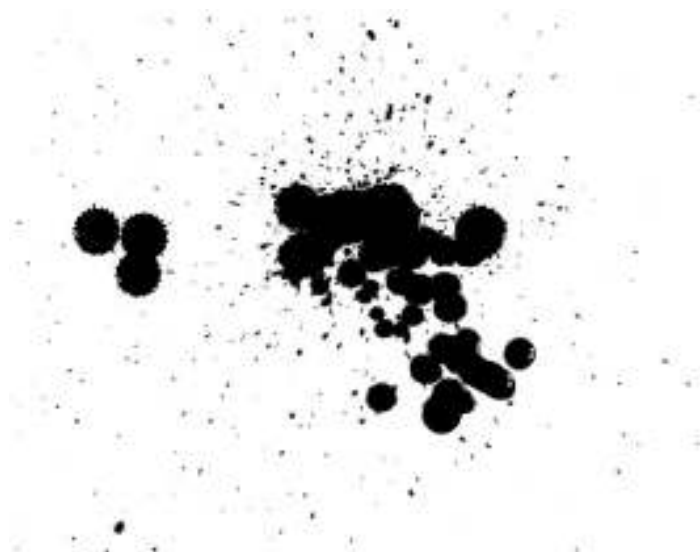


ALEKSANDER SOWA



Umrzec w deszczu

UMRZEĆ W DESZCZU



Opole 2011

Historię tę dedykuję wszystkim tym, dla których miłość stała się przekleństwem i cierpieniem, i tej, dzięki której kiedyś byłem szczęśliwy.

Marteczce

Amsterdam

Biały proszek niechętnie rozpuszczał się pomiędzy kostkami lodu w polskiej wódce. Artur czuł chłód pustej szklanki w swojej dłoni. W tej jednak chwili nie miało to dla niego najmniejszego znaczenia. Podobnie jak wszystko. Jak cała reszta.

Siedział w obszernym fotelu obitym czarną, lśniąca skórą w swoim mieszkaniu. Był mężczyzną w wieku około lat czterdziestu, z tych, którzy wraz z wiekiem nie tracą na atrakcyjności, ale stają się jeszcze bardziej interesujący. Miał na sobie ciemne ubranie, którego koloru stojąca w drzwiach dziewczyna mogła się w panującym mroku tylko domyślać. Patrząc na niego, pomyślała, że brak krawatu nadaje jego postaci pociągającej swobody. Czula subtelny zapach wody kolońskiej, który

przyjemnie lechtał jej nozdrza. Mogłaby pomyśleć: on wygląda jak milion dolarów w gotówce. Do całości sylwetki Artura nie pasowały jednak przydługie włosy, kilkudniowy gęsty zarost, brak butów i skarpetek.

Gdyby w tym pokoju było więcej światła, pewnie dostrzegłaby też na ciemnych włosach pierwsze ślady tego, że jego młodość staje się powoli wspomnieniem. W przydługawych i zaniedbanych kosmykach pojawiały się lśniące świeżą siwizną włosy. Wnętrze mieszkania na poddaszu sześciopiętrowej kamienicy, w którym się znajdowali, pogrążone było w głębokim półmroku i jeszcze głębszym bałaganie. Jego widoczny bezmiar ograniczał chyba jedynie brak światła. Wokół na podłodze leżały puste butelki, ubrania i porozrzucane zdjęcia, szczegółów, których nie widziała. Artur, siedząc w fotelu, wpatrywał się w ścianę mroku i ulewnego deszczu za oknem, które mimo nocy dawało nieco światła z luny po grążonego we wrześniowej nocy miasta. Deszcz jednostajnie wygrywał swoją nutę kroplami wody rozbijanymi o dachówki.

Amsterdam mimo późnej nocy nadal żył. Odgłosy miasta odbijały się od gęsto padającego deszczu. Wraz z nim w szyby uderzał podmuchami wiatr, wypełniając zawodzeniem wnętrze mrocznego poddasza. Jako taką jasność nadawało temu lokum jedynie światło ogromnego akwarium rzucające blask na nieco bardziej pograżony w ciemności drugi fotel. Dziewczyna po chwili wahania weszła i miękko zamknęła za sobą drzwi. Mężczyzna spojrzał w jej stronę. Jego oczy miały szary, beznamiętny wyraz. Nie płakał, lecz mimo tego jego twarz wyrażała ogromny smutek. Dziewczyna usiadła w drugim fotelu i włączyła dyktafon. Nie zadawała pytań. Nie odzywała się. Czasem tylko przygryzała swoje piękne, pełne usta. Pozwoliła, aby scenariusz toczył się według Artura. Był to przedziwny monolog, którego sens jest w stanie pojąć ten, którego szaleństwo doprowadza do miejsca, kiedy następny krok jest już ostatnim. Mówił cicho, niemal szeptem. Smutny wzrok utkwił w oknie. Kiedy przerywał, w pokoju słyszała tylko szum wody w akwarium i złowieszczy odgłos przepływającego przez jego gardło płynu. Kiedy odejmował szklankę od ust,

jego słowa subtelnie zmieniały intonację. Mówił coraz ciszej i coraz wolniej. Zdania zdawały się przedzierać przez gardło. Wydawało się jej, że za kilka, może kilkanaście minut Artur zamilknie, by pograżyć poddasze w całkowitej ciszy. Musiało być w jego słowach coś dramatycznego. Dyktafon ustawiony na stoliku dawno skończył nagrywanie, a dziewczyna nadal była wsłuchana w przejmującą pieśń, zupełnie tego nie zauważając. Nie zauważyła też ogromnej łzy, która spłynęła po policzku i teraz drżała na jej namiętych ustach. Mężczyzna mówił bardzo dobrze po angielsku, wręcz doskonale. Jednak dziennikarka wyczuwała dziwny, niepokojąco słowiański akcent. Jakby w każdym wypowiedzanym zdaniu czuła tę chwilę, kiedy kończy się cisza przed wielką ulewą. Czasem wyraźnie słyszała niezrozumiałe, obco brzmiące słowa, które pochodziły zapewne z któregoś słowiańskiego języka. Może z polskiego albo z czeskiego? Nie wiedziała, z jakiego i mogła się tego tylko domyślać. Wypowiadał niezrozumiałe słowa, niekiedy całe zdania w tym szeleszczącym języku. Czasem były to imiona, a czasem... Na razie rozumiała tyle, że patrzy na historię człowieka.

Widziała, że jest na krawędzi. I to ona będzie świadkiem jego upadku i śmierci. Słuchała zmęczonego mężczyzny z kilkudniowym zarostem na twarzy i nie potrafiła powstrzymać łez, choć przecież widziała niejedno. Ludzkie tragedie to przecież jej chleb powszedni. Im gorsza wiadomość – tak naprawdę – tym lepsza. Patrzyła jednak spod srebrnych oprawek, młodymi, przepięknie dziewczęcymi oczyma. Oczyma, które nie potrafiły w to wszystko uwierzyć... Słuchała. Elektryzujący szept odkrywał przed nią nowe światy. Myślała. Kiedy do niej dziś zadzwonił, w słuchawce usłyszała głęboki, aksamitny, męski głos:

– Chciałaby pani mieć naprawdę niecodzienny materiał?

Po jej plecach od dołu, wzdłuż kręgosłupa, przebiegł dreszcz, jaki czuła zawsze, kiedy poruszył ją jakiś piękny utwór muzyczny.

– A jakiś szczegół na temat tego, co ma mi pan do powiedzenia? – zapytała odważnie, ale i delikatnie, tak aby go nie spłoszyć.

– Możesz przeprowadzić wywiad... ostatni wywiad. I możesz być ze mną w chwili, kiedy będę umierał.

– Jest pan chory na jakąś nieuleczalną chorobę?

W końcu wielu ludzi codziennie umiera, nie jest to znów jakiś rewelacyjny materiał, pomyślała.

– Nie pytaj teraz, albo chcesz widzieć moje samobójstwo, albo dzwonię do innej siksy, która będzie zadowolona. – W tonie odpowiedzi wyczuła irytację.

– Dobrze, proszę powiedzieć, kiedy i gdzie się spotkamy – szybko się zgodziła.

– Przyjedź sama, do mnie do domu, mieszkam przy Loletzplein 64, na ostatnim piętrze. Nie bój się – nie ciebie chcę zabić... bądź wieczorem.

Jej wesółkowatość w jednej chwili ustąpiła.

– Nazywam się Artur Sadovsky...

Dziennikarka wciąż siedziała przy biurku. Trzymała w ręku słuchawkę, mimo że mężczyzna rozłączył się. Nie ma co, taki telefon nie zdarza się codziennie.

– Simon, jak nazywa się ten fotograf od Jugosławii? – krzyknęła do kolegi po drugiej stronie sali redakcji.

– Jaki fotograf?

– Ten od World Press Photo, ty chyba kiedyś robiłeś z nim wywiad. Chłopak zamyślił się chwilę i odparł z wahaniem:

– Ten Polak, czy tam... Czech?... tak... Sadovsky, Artur Sadowski – po czym wrócił do swojej południowej kawy.

Dziewczyna usiadła na krześle i zrozumiała, że musi tam iść za wszelką cenę. Nie wiedziała wprawdzie, czy nie jest to przypadkiem głupi żart, czy może przypadkiem facet nie ześwirował i czy jeśli tam pójdzie, wróci cała. Ale jeśli wróci, będzie mieć z pewnością materiał, którego nie miała jeszcze nigdy. Wskazówka wielkiego zegara przesunęła się i wskazywała właśnie pierwszą. Czas mijał.

Mo

Urodziłem się w małym miasteczku, które leży w pięknie położonej dolinie, pomiędzy kilkoma niewysokimi górami, w Sudetach – nie musisz znać jego nazwy, do niczego nie jest ci ona potrzebna – Artur mówił, a jego głos wyrażał spokój i

niesamowity ładunek smutku. Miasto należy teraz do Republiki Czeskiej. Wtedy jeszcze była to Czechosłowacja. Nie miałem wtedy paszportu, lecz gdybym go miał, miałbym w rubryce narodowość wpisane – czeska. Moja matka była Czeszką, mieszkała tam i tam poznała mojego ojca. Ojciec był Polakiem. Dzielili ich granica, łączyło ich wszystko inne. Łączyła ich miłość. Miasteczka, w których mieszkali, oddalone były od siebie tylko o kilka kilometrów i oczywiście o granicę. Kiedy ojciec miał dziewiętnaście lat, poznał moją matkę. Owocem ich miłości byłem ja. Do piątego roku życia wychowywali mnie rodzice ojca. Matka, razem z ojcem, kończyła studia w Pradze. Potem i ja tam zamieszkałem. Mówiłem po czesku, co zresztą powinnaś słyszeć – ale ojciec zawsze rozmawiał ze mną po polsku. Kiedy skończyłem szkołę podstawową, rodzice zdecydowali, że odąd będę mieszkać w internacie. Wiele lat dziękowałem im za to. Teraz wiem, że w ten sposób na zawsze zmienili moje życie. Nigdy przedtem i nigdy potem nic nie rzuciło takiego cienia na moje losy. Przeklinam dzień, w którym podjęli tę decyzję.

Ojciec sprawił – oczywiście dla mnie zupełnie nieświadomie

– że polskim władałem tak samo dobrze jak czeskim, więc wyjechałem do Polski, aby się uczyć. Miałem zostać wielkim lekkoatletą w sportowej szkole we Wrocławiu i przez większość dzieciństwa uprawiałem sport. Niestety nigdy nie zostałem Carlem Lewisem ani Benem Johnsonem, choć długo i ciężko pracowałem. Pewnej nocy, w pociągu do domu z Wrocławia do Pragi, zrozumiałem, że nigdy nie zostanę wybitnym sportowcem. Byłem jeszcze dzieckiem, choć to nie miało trwać długo. Mieszkalem w miejscu, gdzie świat wyglądał wspaniale, miałem kolegów, życie było kolorowe, proste i miało wytyczone cele, jak droga znaki i pasy na jezdni. Tam pierwszy poznałem smak życia, tam zapaliłem papierosa o tym niecodziennym, słodkim zapachu, którego teraz jest u was pełno. Tam wydarzyły się te wszystkie zdarzenia, które zwykliśmy obdarzać określeniem „pierwszy”. Pierwszy raz kochałem właśnie tam...

Chodziliśmy razem do klasy i mieszkaliśmy w jednym internacie, a mimo to przez cztery, a na

pewno trzy lata nienawidziłem jej, a ona mnie. Teraz wiem, rozumiem już, że granica to bardzo umowne pojęcie. Czasem zamiast dzielić, może łączyć.

Mo-ni-ka... Trzy krótkie sylaby, a jakże wiele znaczą... Monika... Jak ja nienawidziłem i kochałem to imię... Monika... przy pierwszej sylabie usta układają się na kształt muśnięcia warg – mo... Przy drugiej wysuwają się wraz z językiem do przodu – ni... – by otworzyć się do pocałunku, kiedy wypowiadam swój grzech – ...ka. Tylko jeszcze jedno słowo brzmi tak cudownie, słodko, i złowieszczo – Kocham.

Wypowiedziałem je i stało się moją klątwą, przekleństwem i zbawieniem. Na całe życie. Jakże wiele dalbym, by móc je ponownie wypowiedzieć i by jej nigdy nie spotkać. Dopiero kiedy uniósł rękę w górę, młoda dziennikarka dostrzegła w ciemnościach, że wciąż trzymał w palcach jakiś przedmiot. Kawalek drutu, który musiał mieć dla niego istotne znaczenie. Była to wsuwka do włosów. Przysunął ją do warg i delikatnie musnął. Zamknął mocno oczy. Wydawało się jej, że zaraz popłyną z nich perliste łzy. Następnie uniósł

szklankę, podniósł powieki i lodowatym wzrokiem ocenił jej zawartość. Szklanka była pusta. Wstał więc i chwiejnym krokiem, w milczeniu podszedł do lodówki i nakruszył lodu. Wrócił na fotel. Usiadł ciężko, podniósł butelkę, wyduł wargi i wlał całą zawartość do szklanki. Powoli odłożył pustą już flaszkę. Zachowywał się nadzwyczaj spokojnie. Uniósł z podłogi talerzyk z proszkiem i wsypał zawartość do wódki. Wrzucił do szklanki wsuwkę, zamieszał i odłożył. Zdawał sobie sprawę, że kilka kolejnych łyków go zabije. I ona wiedziała, że wsypał do szklanki więcej niż jedną kreskę. Chciał dokończyć. Chciał dokończyć jej swoją historię. Teraz wiedziała, że nie żartował. Każdy samobójca, który nie chce umierać, chce zostawić list pożegnalny – pomyślała. Ja jestem jego listem. – Nie zostało mi już wiele czasu, ale kiedy skończę – kiedy już będzie po wszystkim – będziesz doskonale wiedziała, co zrobić. I jeśli mogę cię o coś prosić, to proszę tylko o jedno. Obiecaj mi, że nigdy nie będziesz mnie oceniać. Tylko tyle. Nic więcej. To chyba niewiele? Prawda? Pytanie zawisło w próżni jak schwymana w pajęczą sieć mucha; skinęła głową, bez pewności, czy w

ciemnościach dostrzegł ten gest. Patrzył smutnymi oczami, których koloru nie umiała odgadnąć, w jej kierunku, ale zdawały się być martwe.

– Teraz uspokój się. Włóż kasetę i słuchaj – mówił dalej, wskazując jej miniaturowy magnetofon szklanką. Uświadomiła sobie w tej chwili, a raczej on jej to uświadomił, że kasetą w dyktafonie już się zapelniła. Wyjęła ją więc szybko i drżącymi – nie wiadomo od czego, strachu, przejęcia, emocji – rękoma włożyła następną. Pustą.

– Kiedy miałem siedemnaście lat, po raz pierwszy poznałem smak kobiety. Miała na imię Agnieszka. Była piękną blondynką o wspaniałych oczach. Trochę jak ty. Dziewczyna, zmieszana, uśmiechnęła się nieśmiało do siebie w swoim fotelu w kącie.

– Wiesz, wydarzenia z dzieciństwa zostają w nas na całe życie? To, co spotka dziecko w latach, kiedy nie rozumie jeszcze nic lub rozumie bardzo niewiele, jest jak zwrotnica na torach kolejowych. Wystarczy mały gest, mały ruch, jedno wydarzenie i jedna znajomość, aby całe cholernie dorosłe życie było już zupełnie inne. Pamiętaj o tym – jeśli

kiedyś zostaniesz matką. Czytałaś Lolitę Nabokova?

– Nie... nie czytałam, ale oglądałam film – odparła dziewczyna troszkę zawstydzona, szybko się usprawiedliwiając. Spojrzał na nią. Pod jego świdrującym spojrzeniem poczuła, że wypowiedziała bardzo głupie zdanie.

Utonąć w twoich oczach

Pamiętam jej oczy do dziś, choć wtedy bałem się w nie patrzeć, by nie utonąć w ich błękie. Pojechałem tego lata do dziadków do Polski na wakacje. Mieszkała niedaleko nas. Spotykaliśmy się. Wkrótce zakochałem się w niej młodzieńczą, szaloną, niecierpliwą i bezkompromisową – głupią miłością. A ona we mnie. Pewnej sierpniowej, rozgwieżdżonej nocy kochaliśmy się pod niebem, które było wtedy jedynym świadkiem naszego zespolenia ciał i dusz. Jakież to było nieudolne i dzikie jednocześnie. Wiedziałem, że kiedyś to nastąpi, nie wiedziałem tylko kiedy. Bałem się bardzo i przez cały czas mówiłem. Pragnęliśmy się wzajemnie jak sucha ziemia w lecie pragnie

deszczu. Moja pierwsza w życiu kochanka zamknęła mi usta pocałunkiem. Tej nocy powiedziałem jeszcze tylko:

– Kocham cię, by za moment później usłyszeć to samo z ust, które jeszcze przed chwilą mnie namiętnie całowały.

Do końca sierpnia uciekaliśmy w to cudowne miejsce wielokrotnie. Uciekaliśmy, by ogniem naszych ciał rozpalać żar naszych serc. Kiedy umarł mój dziadek, po pogrzebie chciałem pójść w to miejsce, by ukoić ból po stracie jakże mi bliskiej osoby. Wyszedłem na polną drogę, którą wielokrotnie przemierzałem z moją Agnieszką, trzymając ją za rękę. Zobaczyłem autostradę i pędzące samochody. Nie było już naszej krainy rozkoszy, gdzie w miłosnym uścisku splataliśmy ciała. Nie było starego dębu, który stawał się co noc, wraz z gwiazdami, niemym świadkiem młodzieńczych uniesień. Nie było już mojej kochanki z drżącymi ustami jak krople rosy na pączuszkach róż, które tak bardzo lubiła, a ja co wieczór zrywałem je dla niej, kalecząc dłonie na różanych kolcach, w ogrodzie starej sąsiadki. Nie było wszystkiego od dawna. Wkrótce po naszych

cudownych wakacjach zapadła na z pozoru niegroźną grypę, która przerodziła się w ciężkie zapalenie płuc. W ciągu kilkudziesięciu godzin moja mała kobietka przegrała samotną batalię z gorączką. Ja przegrałem – jakże boleśnie – wraz z nią. Przegrałem po raz pierwszy. Tego dnia, gdy zimny wicher osuszał moje łzy, a ja klęczałem samotnie na jej grobie, przeklinając cały świat, skończyło się moje dzieciństwo. Tego okrutnego listopadowego dnia, wznosząc zimne dłonie ku niebu, przekląłem Boga. A wraz z nim cały świat. Miałem siedemnaście lat. Przekląłem Boga, bo nigdy by na to nie pozwolił. Wszystkie te brednie czarnych o tym, że Bóg nas doświadcza, o tym, że trzeba z pokorą znosić przeciwności losu, obrzydzą mnie do dziś. Kimże jest Bóg, który pozwala odejść komuś takiemu, kim? Dlaczego nie zabierze ze świata tych, którzy świat czynią okrutnym, podłym i złym, a zabiera anioły? I wiesz, skąd wiem, że nie ma Boga? Bo anioły nie umierają, a skoro nie umierają, to ich nie ma – Agnieszka była aniołem i odeszła. Nie zabrał jej Bóg – nie zabrał jej diabeł. Odeszła po prostu. Odtąd wiem, że religia jest bzdurą i najlepszym

interesem mafii w sutannach, jaki można by wymyślić. Nigdy nie uwierzyłem w tłumaczenia bożego postępowania. Uwierzyłem wreszcie, że nigdy nie istniał. Kiedy ojciec zabrał mnie, obejmując ramionami, do domu moich dziadków, zrozumiałem, jak bardzo go kocham. Nigdy po tym nie nazwałem go nawet w myślach „starym”. To jest charakterystyczne dla was, karmionych sieczką dla małych w telewizji, prasie i Internecie. Odtąd na zawsze już był moim ojcem. Był po prostu tatą. Od tego czasu zawsze mówiłem do niego: tato. Do końca. Wiele razy budził mnie sen, w którym znów byłem na tym cmentarzu. Sen, który wiele razy stawał się rzeczywistością. Życie dlatego jest okrutne, a jednocześnie wspaniałe, że współistnieje z pojęciem czasu nierozdzielnie. A on spokojnie zaciera nasze rany, nasze wspomnienia. Moje rany i moje wspomnienia były ciągle świeże i ciągle bolały, jak drzazga w palcu, z każdym ruchem mocniej i intensywniej. Wiedziałem już, że nie zostanę wielką gwiazdą lekkiej atletyki. Nie chciałem nią zostać i nie zależało mi na tym. Na niczym mi nie zależało! Poszedłem do swojego

trenera, by powiedzieć, że widzimy się po raz ostatni. Wiedział o wszystkim i zaproponował mi dłuższą przerwę. Nie chciałem mu robić przykrości, zgodziłem się, choć doskonale wiedziałem, że nigdy nie wrócę na bieżnię. Że nigdy już jego dobrze zapowiadający się płotkarz nie przebiegnie ani metra. Nie chciałem już więcej przegrywać. Za bardzo bolało. Wycofałem się. Uciekłem. Uciekłem gdzie indziej. Miało to też swoje dobre strony. Mogłem już jeść, co chciałem, mogłem spróbować alkoholu. Miałem też więcej czasu. Moi koledzy, widząc mnie smutnego, zabierali mnie niemal siłą na różne imprezy, spotkania. Po raz pierwszy poznałem papierosa, gorzki smak piwa i palące uczucie, gdy piłem wódkę. Spodobało mi się takie towarzystwo, ci ludzie i ten klimat. Pozwoliło mi to zapomnieć na chwilę o przykrych chwilach. W szkole i w internacie oprócz nauki czasem bardzo dobrze się bawiłem. Zdarzało się, że budziłem się i nie byłem sam. Czasem niektóre z koleżanek w moim łóżku pojawiały się częściej, inne rzadziej. Czasem systematycznie, Ania, Kasia, Jolka czy Asia. Nawet Agnieszka. Potem znów Ania, znów, i jeszcze raz.

Potem w Pradze Ina i Hanička. Jednak żadna nie była Agnieszką. W oczach żadnej z nich nie można było utonąć.

Ty jeden wiedziałeś

Ciągle byłem uczniem. Nadchodziły ostatnie wakacje szkoły średniej. Po wszystkim tym, co mnie spotkało, nie wiedziałem, co chcę robić w życiu. Znowu nadszedł czerwiec, potem lipiec. Wakacje. Znowu pojechałem do dziadków do Polski. Do tego miejsca, gdzie kiedyś była ona. Czasem było mi bardzo źle. Przychodziłem pod ogromną, starą brzozę. Pamiętam jej gałęzie z drobniutkimi listkami, szeleszczącymi na wietrze jak ogromne warkocze, zwisające z rozłożystych gałęzi.

– Nie wiesz, co to brzoza, prawda? Skąd możesz wiedzieć – Artur nagle, niespodziewanie dla dziewczyny, zaczął mówić po polsku. Zupełnie nic nie rozumiała i czuła się nieswojo, tym bardziej, że patrzył teraz na nią i mówił wprost do niej.

– Betula! – wypowiedział nazwę łacińską. I znów patrząc w okno, szybko wypowiadał inne słowa.

– Można było się chwycić takiego warkocza i huśtać do woli, albo z jednego brzegu rzeki na drugi przelatywać, wisząc jak Tarzan na lianie. Zrozumiała ostatnie słowo. Znów spojrział na dziewczynę i odparł na jej pytający wzrok.

– Yes, like Tarzan! – Po czym kontynuował:

– Siadałem na drewnianej ławce, którą dziadek chyba przed dwudziestoma laty zbil z desek i tam postawił. Pod brzozą. Tam, w ogrodzie, pod tym starym drzewem, rozmyślałem, wpatrując się w zapadające za góry słońce. Tam słońce zachodzi najpiękniej na świecie. W dupie mam zachody słońca na Majorce, Costa Brava i na Hawajach – tam, w kraju moich lat dziecińczych, słońce zawsze zachodzi najpiękniej. Tak bardzo chciałbym raz jeszcze zobaczyć to miejsce i przeżyć taki lipcowy wieczór – mężczyzna patrzył na fotografię, którą trzymał w dłoni. Po chwili milczenia wyrzucił ją na podłogę, wychylił spory łyk ze szklanki z rżniętego szkła i mówił dalej:

– Słońce zapadało wieczorami, by pograżać mnie w półmroku, który zacierał kolory i kształty. By ofiarowywać mi co noc nowe tajemnice. By błysnąć miliardami gwiazd i tysiącami odgłosów nocy. Wychodziłem na wzgórze za domem, by wpatrywać się w zamierające światła Javornika, by posłuchać ciszy, przesypując piasek między palcami. Ciszy, którą śmiały naruszyć jedynie bezczelnie cykające swój szaleńczy koncert świerszcze. Siedziałem tam zwykle, dopóki chłodne tchnienie nocy nie pozwalało mi nadal poić sobą moich zmysłów. Głosów, zapachów i kształtów ciszy.

Wracałem pod moją okrytą mrokiem brzozę. Siadałem i myślałem o Agnieszce i o tym, co będzie z moim życiem. Co dalej i co mam robić. Za rok miałem już zdawać egzaminy końcowe. Wybrać szkołę i dalej żyć, a raczej rozpocząć nowe życie. Dorosłe. Tego wieczoru, po chwili, kiedy robiło się zimno, stare ręce mojego dziadka okryły mnie kocem. Nigdy sam nie odzywał się pierwszy. Lecz kiedy mówiłem, słuchał, czasem kiwał głową i milczał. Nie pytał o nic. Kiedy kończyłem, wydłubywał zawartość fajki, wyjmował z kieszeni

spodni tytoń, który kupowałem mu w Czechach, nabijał ponownie i zapalał. Następnie zaciągał się głęboko dymem i po chwili mówił. Opowiadał mi o swojej młodości, o wojnie, o świecie sprzed kilkudziesięciu lat. Czasem o jakichś wydarzeniach i ludziach, w denerwujący, starczy sposób, którego moja młodość nie rozumiała. O ich historiach. Nigdy nie dawał mi rad i wskazówek, choć dokładnie wiedział, co zrobić. Znał mnie o wiele lepiej niż ktokolwiek inny. Nawet niż ja sam. Pewnej nocy, tak podobnej do innych, a mimo to wyjątkowej, kiedy wróciłem ze wzgórza ze żdźbłem suchej trawy w ustach, nie przyszedł. Usiadłem na ławce i słuchałem odgłosów z domu. Wiedziałem, że on gdzieś tam jest. Słyszałem go. Był na strychu, robił coś. Słyszałem wyraźnie, jak przestawia jakieś sprzęty i otwiera szafy i kufry. Po pewnym czasie dźwięki ustały i zamilkł cały dom. Pewnie spijał wiśniowe wino z gąsiora – pomyślałem wtedy o nim z uśmiechem. Zobaczyłem go po chwili. Szedł powoli, w ciemnościach, by usiąść obok. Kiedy wreszcie to zrobił, powiedział cicho:

– To jest dla ciebie. Nie daję ci go, lecz tylko pożyczam. Kiedy przyniesiesz mi pierwsze dobre zdjęcie i ja uznam, że jest wystarczająco dobre – będzie należał do ciebie. Ale jeśli nie, jeśli nie będzie wystarczająco dobre, oddasz go mi w nienaruszonym stanie. I nigdy nie weźmiesz do rąk. I uśmiechając się, dał mi stary skórzany futerał. Był w nim rosyjski, czy też bardziej precyzyjnie – radziecki – aparat fotograficzny Zenith. Dziadek patrzył na mnie. Gdybym potrafił widzieć w ciemnościach, zobaczyłbym przepelniony miłością i pelen troski wzrok starego człowieka. Spojrzenie z pytaniem w oczach.

– Dobrze – odpowiedziałem, zgadzając się. Nie zdawałem sobie wtedy sprawy z tego, co może to dla mnie oznaczać.

– Więc jutro nauczę cię posługiwać się tym. A to, wbrew pozorom, nie takie proste.

– Oj, chyba nie takie znów trudne!

– Zobaczysz. Sam się przekonasz i mi powiesz. Potem uprzątniemy stryżek i coś tam wykombinujemy! Myślę, że możesz się tym zainteresować. Zaciągnął się dymem. Pyknął fajkę trzy razy.

– Nie siedź za długo. Robi się zimno.

Nie wiedziałem, o czym mówił wcześniej. I kiedy go zapytałem, cicho odpowiedział tylko:

– Wszystko w swoim czasie, synku. Jutro pójdziesz do sklepu i kupisz to, co ci powiem. A teraz chodź spać i nie myśl już o tym! Poszedłem spać, jak kazał, lecz nadal nie mogłem zrozumieć, o czym mówił. Zasnąłem i kiedy się obudziłem, nie rozumiałem nadal. Budziłem się jeszcze wiele razy i wciąż nie rozumiałem. Musiałem jeszcze wiele razy wstawać z łóżka, zanim pojąłem. Setki razy, lecz wreszcie pojąłem, o czym mi tamtej nocy powiedział. Był bardzo mądrym człowiekiem i to, co zrobił, zapewne dobrze przemyślał. Nie była to mądrość okupiona doktoratem. Nie była to mądrość potwierdzona dyplomami, ale była to mądrość, której często brakuje tym, co kupują dyplomy i dostają doktoraty. Dla mnie nieświadomie nadal sens mojemu życiu na bardzo długi czas. Na całe życie. Zawszę będę mu za to wdzięczny! Szkoda, że teraz nie mogę wyjść z domu pod brzozę z nim po prostu porozmawiać! Jestem pewien, że tamtego wieczoru i tak ukradkiem spuszczał wino z gąsiora.

Nie wiem tylko, czy po tym, jak dał mi aparat, czy wcześniej. Następnego ranka poszedłem do miasteczka, tam, gdzie powiedział. Kupiłem to, co napisał niezdarnie starymi rękoma na małej kartce. Błona 135, 36 klatek 24 ASA czarno-biała. Zupełnie nie wiedziałem, o co chodzi w tych wszystkich oznaczeniach, lecz w ciągu najbliższych kilkunastu dni poznałem je i wiele innych dziadkowych zaklęć. Dowiedziałem się, co to jest przysłona i jaki ma związek z migawką. Wiedziałem już, jak się ustawia ostrość i zwalnia samowyzwalacz. Patrzyłem na światłomierz i robiłem zdjęcia. Było to zupełnie inne, dla mnie nowe doświadczenie. Robiłem już wcześniej zdjęcia. Jak każdy. Lecz polegało to na przyłożeniu do oka aparatu i naciśnięciu guzika. Teraz było zupełnie inaczej. O wiele trudniej, przez to sprawiało mi to ogromną przyjemność. W ciągu kilku dni dziadek nauczył mnie wielu fotograficznych tajemnic. Nauczył mnie malowania światłem. Jakiś czas po tym, kiedy wiedziałem już, dlaczego robię niewyraźne albo czarne zdjęcia, uprzątnęliśmy z dziadkiem starą łazienkę na strychu. Nie wiedziałem, po co to

robimy, ale w trakcie pracy powoli wszystko mi wyjaśnił. Zabrał mnie na strych. Było to właściwie całe piętro. Dla dziadka i babci wystarczył dół i parter domu, zatem nieczęsto tu zaglądali. Weszliśmy do łazienki, w której stało kilka starych pojemników, nazywanych przez dziadka kuwetami. Wstawiony był tutaj stary kredens, który pamiętałem jeszcze z czasów, kiedy stał na dole w kuchni, a babcia, dużo młodsza i sprawniejsza, krzątała się wokół, w swoim królestwie.

– Kiedyś to były meble – odrzekł dziadek z sentymentem, otwierając szafkę po naczyniach. Stały tam, spowite jedwabnymi nićmi pajęczyn przeróżne pojemniki i butelki o rozmaitych kształtach i wielkościach. Wszędzie były wielkie jak trzmiele pająki.

– Musimy tu chyba posprzątać?

– Masz rację – dziadek kiwnął głową, zgadzając się ze mną.

Wzięliśmy się więc do pracy. I wkrótce było po wszystkim. Odpoczywaliśmy, a on mówił:

– To jest powiększalnik – wskazał dziwne urządzenie na stole, które przypominało wiertarkę zamontowaną na stałe, by wierciła w dół.

– Kolorowe pojemniki to kuwety – ciągnął dalej.
– To właśnie w nich zobaczysz cud. Cud narodzin czegoś, co właśnie ty stworzyłeś!

Polecił mi wkręcić czerwoną żarówkę, zamknąć drzwi na klucz i zasłonić małe okno.

– Teraz nalej wody do kolejnych pojemników i patrz!

Wsadził termometr do wody i polecił mi odczytać wskazanie.

– Dwadzieścia dwa – odczytałem.

– Dużo – odparł z widocznym niezadowoleniem – ma być osiemnaście, poczekamy.

– Teraz jest dwadzieścia – powiedziałem, kiedy słupek obniżył się o dwie kreski.

– Teraz mieszaj.

Widziałem, jak uśmiechał się do mnie w czerwonej poświacie i wyglądał jak indiański szaman albo czarownik z amerykańskich, durnowatych filmów dla półgłówków. W łazience, która teraz stała się ciemnią, panował mrok, rozświetlany jedynie tą małą czerwoną żarówką. Jakiś czas po tym, po szeregu niezrozumiałych czynności, których zawilgości na bieżąco mi

objaśniał, włożył kartkę papieru do roztworu, który nosił nic mi wtedy niemówiące miano wywoływacza. Na moich oczach powoli zaczął się rodzić obraz. Obraz, który dzięki dziadkowej alchemii powołałem do życia. Po raz pierwszy w życiu namalowałem obraz światłem. Do końca wakacji chodziłem po okolicy i fotografowałem, co tylko się dało. Było to ogromnie spontaniczne, fascynujące! Kiedy wracałem, dziadek się tylko lekko uśmiechał, siedząc na ławce i paląc tę swoją nieodłączną fajkę. Co jakiś czas pokazywał mi nowe możliwości sprzętu, choć prawdę mówiąc, nie były zbyt imponujące. Wiedziałem już jednak, jak zrobić kilka zdjęć na jednej klatce i do czego służy statyw. Eksperymentowałem. Zużyłem dziesiątki rolek filmu, a dziadek wciąż tylko leciutko się uśmiechał. Zepsułem setki wspaniałych ujęć i doskonałych tematów. Wielokrotnie zrobiłem trzydzieści osiem lub czterdzieści zdjęć na jednej klatce, bo źle włożyłem film. O, ileż zmarnowałem klatek przez naświetlenie, prześwietlenie i niedoświetlenie. Te kadry, uśmiechy, zachody słońca, grzyby, drzewa, lzy i kocie sprawy, które bezpowrotnie straciłem.

Widzę je teraz oczami wyobraźni jako najpiękniejsze, fascynujące i tak bardzo tęsknię, że je utracilem na zawsze. Ale i one były potrzebne. Tak jak potrzebny jest płacz, poobijane łokcie i kolana, zanim się dziecko nauczy sztuki jazdy na rowerze. Myślę, że dziadek był zadowolony. Najbardziej z tego, że zapomniałem o swoich troskach. Ciekawe, bo może uśmiechał się, wiedząc, że wszczepił mi wirus. Wirus, który dał mi szczęście. Czasem wychodziłem do lasu lub nad rozlewiska Kamiennej, aby się wykąpać. Przychodził do mnie kolega, rówieśnik, Marcin. Znałem się z nim jeszcze z czasów, kiedy przyjeżdżałem tam jako zupełny dzieciak. Zresztą jego siostra też miała na imię Agnieszka. Tak jak moja Agnieszka, o mlecznych, perłowych włosach. Gdybym nosił w sobie takie uczucia jak Kain, Marcin zginąłby z moich rąk. Marcin był brunetem, a ja, niestety, nigdy się tak ciemnych włosów nie doczekałem. Kiedy mieliśmy po piętnaście lat, on miał 176 centymetrów wzrostu, a ja ledwie przekraczałem 160. Marcin był szybszy, silniejszy, sprawniejszy, lepiej grał w piłkę, celniej strzelał z wiatrówki. Nigdy nie śmiał się z moich

kawałów. Ale mimo to opowiadałem mu je, aby mieć satysfakcję z tego, jak powstrzymywał śmiech, by okazać mi, jak bardzo mizernym żartem go właśnie zanudzam. Kiedy gdzieś wychodziłem, aparat brałem zawsze ze sobą, więc i tym razem też tak było. Wracaliśmy już do domów po udanej kąpeli, w powietrzu unosił się sierpniowy zapach zbliżającego się powoli wieczoru, słychać było w oddali kombajny w tym niezwyklej ferworze żniw. Rozmawialiśmy jak zwykle na jakiś frapujący nas temat. Nie pamiętam już. Samochody, motocykle? Dwóch jeszcze nie-studentów, idących zwykłą polną, szutrową drogą z lasu. Z daleka dolatywał cichy szum pociągu do Javornika, z kominów domów wolno unosił się dym.

– Słyszaleś? – nagle Marcin zapytał mnie i zatrzymał się, nasłuchując bardzo intensywnie czegoś, co prawdopodobnie usłyszał przed chwilą.

– Nie... a co miałem słyszeć?

– Cicho! – Marcin uciszył mnie stanowczo. I w tym momencie obaj już usłyszeliśmy leciutki, ledwo słyszalny... pisk? Skomlenie? Nie wiedząc, co słyszymy, zbliżaliśmy się do miejsca, skąd dochodził ten dźwięk. Tak, to było skomlenie. Po

chwili obaj już wiedząc, że dźwięk dobiega z przydrożnego rowu, zastanawialiśmy, co może go wydawać? Kilka sekund po tym cała zawartość mojego żołądka gwałtownie i wbrew mojej woli uniosła się do góry. Aż do gardła. Wywaliłem cały obiad do biosfery. W rowie leżał pies. Kudłaty, nierasowy, mały pies. Widziałem, jak szczerzy do nas białe kły, ale tylko tyle mógł zrobić; nieomal połowę jego tułowia pokrywały białe, tłuste robaki, które bezustannie się ruszały. Patrzył na nas wielkimi z cierpienia i bólu oczami. – Widzisz?... – zapytał cicho Marcin.

– Uhm... – odparłem, wycierając usta z wymiocin.

Pod rozerwanym brzuchem suki leżały martwe, jeszcze nie narodzone szczenięta. Na wpół zjedzone przez białe, wstrętne robaki!

– Musimy go zabić.

– Ja tego nie zrobię – odpowiedziałem. Popatrzył na mnie.

– Więc ja to muszę zrobić? Chryste, zaraz puszczę pawia jak ty.

– Ja tego nie zrobię – powtórzyłem z naciskiem.

Patrzyłem, jak spokojnie szukał odpowiednio dużego kamienia i nie mógł znaleźć, a mnie przyszło to z niebywałą łatwością. Kiedy znalazłem i podałem mu kamień do ręki, czułem się jak Ewa podająca rajski owoc Adamowi na chwilę przed spełnieniem się największej bajki świata. Szybko wyjąłem z plecaka mojego zenitha, naciągnąłem film, spojrzałem na światłomierz z prawej strony lustra i wycelowałem w psie oczy, nastawiwszy ostrość drżącymi dłońmi. Po chwili kamień upadł na to biedne zwierzę, które pamiętam do dziś.

– Pewnie potrąciło go auto.

– Tak, to jedyna możliwość. Ciekawe, ile tak leżał?

– Kilka dni, może dwa albo pięć... – odpowiedział Marcin po chwili namysłu.

– Męczyłby się tylko – odparłem.

– Uhm...

Do samego domu nie odezwaliliśmy się do siebie ani słowem. Każdy z nas o czymś myślał. Po tym wydarzeniu długo zastanawiałem się, aż wreszcie powiedziałem o tym psie dziadkowi. Czy jest to szukanie dobrego ujęcia kosztem cierpienia tego

zwierzęcia, tej istoty? Czulem się dziwnie. Nie wiedziałem, dlaczego zrobiłem tę fotografię, i nie umiałem odpowiedzieć na Marcina pytanie.

– Po co marnujesz kliszę na takie głupie zdjęcia?

Opowiedziałem o tym dziadkowi dokładnie. Wysłuchał mnie spokojnie, po czym zapytał:

– A co zrobilibyś teraz?

Pomyślałem, by po chwili uśmiechnąć się do dziadka i swoich myśli. Przecież nic innego nie pozostało. Każda chwila dla tego psa była bezsensowną męczarnią. Nie można było pomóc inaczej, jak tylko przerywając jego cierpienie.

– Takie jest życie, synu. Więc kiedy wchodzimy do ciemni?

Siedziałem prawie w całkowitych ciemnościach, rozświetlonych jedynie mdłym światelkiem czerwonej żarówki. Przed moimi oczami z wolna ukazywały się rajobrazy, twarze bliskich i zupełnie nieznanych mi osób, wydarzenia i sytuacje. Była to przepiękna chwila. Tylko ja i moje czary. Miało to coś z mistycyzmu. Czulem się jak czarownik w swojej pracowni na wieży kamiennego zamku. Wreszcie do wywoływacza włożyłem papier, na którym miało powstać to zdjęcie. Moim oczom

powoli ukazywał się niewyraźny kształt. Szczegóły poczęły wydobywać się z niebytu. Widziałem już oczy. Miały w sobie przeogromny ładunek cierpienia, żalu za odchodzącym życiem, strachu przed śmiercią i wdzięczność. Wdzięczność za zatrzymanie bólu. I jeszcze coś. Ogromną chęć do życia. Nawet na sekundę przed śmiercią. Następnego tygodnia moje wakacje u dziadków dobiegły końca. Kiedy ojciec przestał już się dziwić mojej zmianie, mogłem spokojnie porozmawiać z dziadkiem. Usiadłem pod brzozą obok niego i zaczęliśmy z sobą rozmawiać. Dziadek zapytał mnie o najlepszą fotografię.

– Wiesz już, które?

– Nie, jeszcze się waham. Mam tu kilka. Wszystkie są dobre – nie wiem – może to z Marcinem?

– Wybrałbyś je jako najlepsze?

– Nie, chyba nie – odparłem.

– Więc możesz je odłożyć. Chociaż czekaj, jest dobre, podoba mi się – i wziął fotografię do ręki, by przyjrzeć się jej bliżej.

– To, uważam, że jest udane – i podałem mu nastrojowy obraz unoszących się nad taflą jeziora porannych mgieł o piątej nad ranem.

– No, możesz być z siebie dumny. Nauka nie poszła w las! – odrzekł, poprawiając okulary.

– Ale zaczekaj – zawahałem się. – Prawdę mówiąc, wybrałem już chyba zdjęcie. Podałem mu wizerunek umierającego psa. Tego psa. Z wielkimi, przerażonymi oczyma, wpatrującymi się w straszną przyszłość.

– Jestem pewien. To na pewno to zdjęcie.

Patrzył dłuższą chwilę. Potem zapytał innym głosem, poważnym, bez cienia żartu:

– Dlaczego właśnie to?

– Nie wiem do końca. Chyba dlatego, że ono oddaje dokładnie to, co czulem ja i co czuło to zwierzę, ta istota. Ono nie potrzebuje opisu, tytułu. Ono mówi, przemawia do mnie i do tych, którzy je oglądają. To zdjęcie jest chwilą, jest historią... Ono nie jest z tych, które nie znaczą nic jak jakaś pocztówka z fontanną Trytona. To zdjęcie jest wyjątkowe. Budzi we mnie największe emocje.

– Aparat jest twój!

Internat

Teraz już wiem, że było to pierwsze dobre zdjęcie, które zrobiłem. Pozostało na długie lata w mojej pamięci jako wzór. Stało się wyznacznikiem zawodowej drogi. Odcisnęło piętno na całym moim życiu. I jednocześnie zmieniło mnie na długie lata. Wkrótce po tym robiłem coraz bardziej udane fotki. Poważnie myślałem o przyszłości z obiektywem. Pozostała jeszcze klasa maturalna.

A podczas tego roku miało się wiele jeszcze wydarzyć. W internacie z mojej klasy pozostała już tylko Monika. I ja. Nie przepadałismy za sobą. Mniej więcej tak samo, jak kot nie przepada za psem.

Jak to w Polsce mówią – w ciasnej ulicy. Była piękną dziewczyną. Podobala się chyba każdemu chłopakowi. I każdy o niej mówił to samo: ależ ona jest głupia. Chyba była bardziej od nas po prostu dorosła. Albo nikt z tych, którzy o niej tak mówili, nie rozumiał jej. Nie byłem wyjątkiem. Przychodziłem już wcześniej do niej, kiedy potrzebowałem na przykład zeszytu albo książki. Nie rozmawialiśmy zbyt wiele, więc na dobrą

sprawę nie znaliśmy się. Byliśmy jedynymi przedstawicielami naszej klasy w internacie, więc nasze stosunki skądinąd układały się wyjątkowo poprawnie. Dyplomatycznie. Poszedłem do niej pewnego wrześniowego popołudnia po zeszyt. Jak zwykle. Odtąd jednak nic już nie było jak zawsze. Jak zwykle siedziała przy biurku.

– Co robisz? – zapytałem. Podniosła oczy znad kartonu.

– A jak myślisz, Sherlocku? Podpowiem ci, mam kilka ołówków i karton, no i gumkę, ale... rzadko jej używam. I nie jest to taka gumka, o której myślisz!

– A ja czytałem gdzieś, że największym zboczeniem jest powstrzymywanie się od miłości!
– Watsonie. Roześmiała się pięknie i już zupełnie normalnie odpowiedziała:

– Tak, nawet wiem, gdzie to wyczytałeś.

– Tak? To bardzo ciekawe. A gdzie?

– W tych Playboyach, które chowacie pod poduszką. Zaśmiałem się, przypomniałem sobie, że Sfinks czytał kiedyś Playboya, kiedy do mnie przyszła. Pewnie stąd przyszło jej to do głowy. Zrobiła triumfującą minę, dając sygnał, że tę

słowną potyczkę wygrała ona, i całkiem normalnie odpowiedziała już na moje pytanie:

– Rysuję sobie. Czasem tak robię, kiedy jestem sama.

– Lubisz rysować?

– Tak, bardzo. Jak mam dużo czasu w domu, to wydaję też farby i maluję.

– Biedne ściany – zażartowałem. Na jej ustach pojawił się znów uśmiech, choć żart był płytki i durny jak wszystkie żarciki dwudziestolatków.

– Ja robię zdjęcia.

– Pokażesz mi kiedyś?

– Najpierw ty pokaż mi swoje dzieła!

– Dobrze, proszę bardzo – wyjęła z szuflady kilka kartek i rzuciła na łóżko. – Oglądaj! – odparła prowokująco. Na dużych, twardych kartkach papieru z bloku rysunkowego były narysowane ołówkiem różne obrazy. Niektóre niedokończone, były tylko ledwie rozpoczętymi szkicami. W większości były to twarze, dłonie, przedmioty. Wiele z nich autentycznie mi się podobało. Były bardzo dobre. Ołówkiem można wyczarować piękne rysunki – pomyślałem w głębi i odparłem, aby ją rozeźlić:

– Aaaaaleeee lipa... czemu są niedokończone? –
Po czym dodałem już zgodnie z prawdą:

– Nie wiedziałem, że tak dobrze malujesz.

Nawet teraz, kiedy poczuła się lekko
zawstydzona, nadal była przytomna!

– Rysujesz. Ołówkiem się rysuje, a farbami
maluje, rozumiesz?

– Żebyś taka mądra zawsze była –
zażartowałem sobie znów, a ona znów się
nastroszyła. Nie musiała mi nic wyjaśniać,
doskonale znałem różnicę. Pomyliłem się po
prostu. Z przyjemnością mi o tym przypomniała. –
Na drugie mam Weronika, o tym też nie
wiedziałaś, cwaniaczku?

– Nie, nie wiedziałem... cwaniaro.

Uśmiechnąłem się, szykując się do wyjścia.
Wziąłem jeszcze zeszyt do polskiego, po który do
niej przyszedłem, i odparłem, odchodząc:

– Jak go przepiszę, zaraz ci go przyniosę. Mogę
przyjść w nocy? – I wyszedłem, zamykając drzwi
pokoju numer 133.

– Nie zapomnij o zdjęciach – wrzasnęła, kiedy
byłem już na korytarzu.

– W porządku – odpowiedziałem cicho.

Schodziłem po schodach w wyśmienitym nastroju i tego wieczoru poczułem pierwszy raz, że naprawdę można by ją polubić. Wkrótce znów do niej przyszedłem. Tym razem, aby pokazać swoje fotki i oddać zeszyt. Później już tylko, by porozmawiać. Przychodziłem częściej. Mój zeszyt z polskiego wyglądał doskonale i coraz częściej był na bieżąco uzupełniany, co zauważyła nawet pani Wiesława, nie kryjąc zadowolenia zresztą. Monika nie była wcale głupia, tyle tylko, że nie każdy potrafił ją zrozumieć. A ci, którym nie pozwalała się zrozumieć, szybko stwierdzali,

że jest głupia, bo tak było znacznie prościej. Zaprzyjaźniliśmy się. Kiedy przychodziłem do niej, zawsze siadała na krześle przy biurku, potem kładła się obok mnie na łóżku. Nim minął październik, zrozumiałem, że czuję do niej ogromne pożądanie. Niezwykle silne, samcze uczucie. Postanowiłem dłużej nie trzymać tego w sobie i powiedzieć jej o tym wprost! Jednak to nie ja rozdawałem karty, rozdawał je los. Przeznaczenie.

Tego dnia przyszła do mnie około godziny dwudziestej pierwszej, wracając z sali

gimnastycznej, gdzie trenowała aerobik. Usiadła na łóżku i powiedziała:

– Przyjdź do mnie, Arturku za chwilę. Pomożesz mi w czymś.

– W czym?

– Nic się nie martw. To nic strasznego.

W jej oczach dostrzegłem coś dziwnego, czego nie potrafiłem określić. Poszedłem... i to była decyzja, która zaważyła na naszych... stosunkach?

W jej pokoju paliła się tylko lampka przy łóżku. Obok stała mała zapachowa świeczka. W powietrzu unosił się delikatny aromat indyjskich kadzidełek. W radiu grała cicho muzyka, Chris de Burg śpiewał swoje *Lady in red*. Poczulem niepokój przed czymś, co mnie właśnie spotykało. Kiedy oczy przyzwyczaiły się już do ciemności, zobaczyłem ją leżącą w łóżku. Powiedziała cicho i zupełnie niepodobnym do niej głosem:

– Chodź, jestem bardzo zmęczona, grałyśmy. Ziewnęła przeciągle – bolą mnie wszystkie mięśnie. Zrób swojej najlepszej koleżance masaż. Zrobisz? Aha... i przekręć klucz, proszę.

Patrzyłem na nią. Nie wiedziałem, co mam powiedzieć, co mam zrobić. Czulem, że to tylko

mistyfikacja, zasłona przed czymś zupełnie innym. Odpowiedziałem więc, uśmiechając się, pytaniem:

– A co będę miał z tego ja?

Wstała. Patrząc na mnie bez cienia żartu, poważnym tonem odparła:

– Zamknij drzwi!

Przekręciłem klucz w zamku. Spojrzałem na nią. Patrzyła tym samym świdrującym mnie wzrokiem. Siedziała na łóżku z ugiętymi nogami, w rozkroku, na piętach. Jej kręcone włosy opadały na ramiona i zsuwały się jeszcze niżej. Białą bawelnianą koszulkę z flagą Zjednoczonego Królestwa wypinał zgrabny biuścik. Nagle skrzyżowała ręce przed sobą. Chwyciła koszulkę i po prostu zdjęła ją! Ciągłe patrząc na mnie, w białym koronkowym staniku i spodenkach, wskazała stojący na szafeczce olejek do ciała.

– Weź to i chodź.

Położyła się na brzuchu. Podeszedłem do niej. Ubrana w białego triumpha i czarne, obcisłe, skąpe spodenki stanowiła dla mnie zagadkę. Nigdy nie widziałem jej tak ubranej. Usiadłem na niej okrakiem, jej nogi znalazły się pomiędzy moimi. Miałem przed sobą przepiękne, opalone ciało.

Odsłoniłem czarne, jeszcze wilgotne po prysznicu i pachnące szamponem włosy z jej karku i zająłem się stanikiem. Nie szło mi to za dobrze i szczerze mówiąc, nigdy się tego nie nauczyłem porządnie. Jest to bowiem jedna z tych rzeczy, które mi imponują u kobiet do dziś. Jestem pewien, że zapięcie z tyłu stanika wymyśliła kobieta, która na pewno nie miała prawa jazdy.

– O, już czas, aby się tego nauczyć, jesteś przecież dużym chłopcem – i szybko odpięła zamek sama.

Dotknąłem brązowej od letniej opalenizny skóry jej pleców. Rozlałem odrobinę olejku na dłoń i delikatnymi, kolistymi ruchami rozprowadzałem po jej ciele. Cichutko westchnęła i od tej chwili co jakiś czas wydawała z siebie głosy, które przywodziły mi na myśl mruczącą z zadowolenia kotkę. Po kilku minutach masażu już znałem dokładnie topografię jej pleców. Mój masaż miał polegać oczywiście z definicji na masowaniu, lecz w tej chwili już nie masowałem jej, ale głaskałem. Miałem zamknięte oczy, ona zresztą też. Podniecałem się coraz silniej. Moje śliskie od olejku dłonie wędrowały na boki jej gorącego ciała.

Kiedy przesuwalem dłonie ku jej piersiom, niby ciągle wykonując masaż, który miał ją odprężyć, ona unosiła się delikatnie, tak bym mógł sięgnąć głębiej. Pochyliłem się nad nią i ustami, najdelikatniej jak tylko potrafiłem, musnąłem jej skórę. Jak skrzydełkiem motyla, jak piórkiem. Czekałem..., ale milczenie stało się przyzwoleniem. Tym razem troszeczkę mocniej, jednak wciąż tylko subtelną mgiełką oddechu całowałem czekoladową skórę.

Po chwili, kiedy przesunąłem usta w okolice szyi, pojąłem, że jej oddech lekko przyśpieszył i wyraźnie stał się płytszy. Odsunąłem jej włosy z karku i całowałem delikatnie dolną wargą szyję. Z zamkniętymi oczami odsuwała głowę tak, abym mógł dosięgnąć lekko rozsuniętych warg.

Słyszałem teraz dokładnie jej oddech. Położyłem się obok niej. Spojrzałem na jej twarz, twarz anioła, i przymknąłem oczy. Po chwili poczułem na swoich wargach jej delikatne usta. Tylko kilka dziesiętnych sekundy i znów spojrzała na mnie. Znów nasze wargi zwarły się w miłosnym uścisku. Wirował świat.

Kiedy kolejny raz otworzyłem oczy, patrzyła na mnie dokładnie w ten sam sposób jak wtedy, gdy wszedłem do jej pokoju. Rozumiałem już słowa, jej spojrzenia, a ona moje. Pożądanie. Tak, to było pożądanie!

Patrzyliśmy na siebie onieśmieleni i niemi w swym podnieceniu, smakując ten odcień miłości, jakim jest namiętność. Patrzyłem na jej mokre usta i widziałem na nich wilgoć własnej śliny. Pocałunki stały się odważniejsze, a usta coraz bardziej chciwe. Olśniła mnie pięknem swojego ciała. Była tak cudna, jak najpiękniejsza z moich marzeń. Nimfa, w każdym calu doskonała. Dotykałem jej piersi i cały świat dla mnie nie istniał. Nie istniał dla nas, byliśmy pochłonięci sobą, pochłonięci pożądaniem. Razem budowaliśmy naszą historię zakazanego owocu. Moja dolna warga wspinała się na maleńki, sterczący guziczek jej sutka. Jej oddech był dla mnie już zupełnie jasny. Najpiękniej jak tylko mogłem sobie to wyobrazić, wtapiał się w tło płynących z głośników słów piosenki:

Tak, przyszła dziewczyna, śniłem, czy też była to jawa, ziemia znów zielona była i niebo tak niebieskie jak dawniej.

– Słyszałaś kiedyś tę piosenkę?

Jest w niej wszystko to, co jest w muzyce rockowej. Ten utwór jest jak świętość, bowiem jest to coś doskonałego. Nuty płyną tak piękną melodią, jaką tylko mógł człowiek stworzyć. Jest miłość i spokój. Jest radość i smutek. Organy wydają z siebie dźwięki niczym w świątyni rocka.

Potem, w refrenie, muzyka uderza w ciebie takim zestawieniem dźwięku i wokalu, jaki można usłyszeć tylko chyba jeszcze podczas lipcowej burzy. A jeśli posiadasz tę jedną z nieprawdopodobnych zdolności i rozumiesz, o czym śpiewają ci Węgrzy – zrozumiesz, czym jest Győngyhajú Lány i będziesz wiedziała, jak bardzo dzika była moja miłość do tej dziewczyny.

Dzika jak dziewczyna, która nosi we włosach słońce. Kiedy nasze grzeszne uściski ostudził cichutkim piknięciem leżący na stoliku bezwzględny zegarek, popatrzyłem w jej brązowe oczy. Wiedziałem, że muszę już iść. Powiedziała tylko:

– Przyjdź po jedenastej. Będę na ciebie czekała.

Otworzyłem drzwi. Szybko wróciłem do swojego pokoju, napotykając po drodze karcący wzrok internatowego wychowawcy, pana Jerzego.

Doskonale wiedziałem, jak wszyscy „starzy” mieszkańcy internatu, że dzisiejsza noc dla niego nie będzie inną od pozostałych i że Koniu, bo tak go nazywaliśmy, przed jedenastą zamknie drzwi od swojego gabinetu. Jeśli będzie cicho, nie wyjdzie z niego do rana.

Kiedy się już wykapałem, stało się tak, jak przewidywałem. Koniu sprawdził, czy leżymy w łóżkach, zgasił światło i poszedł spać. Moi koledzy z pokoju też szybciotko zapadli w sen. Kiedy już byłem zupełnie pewny, że wszyscy śpią, wymknąłem się z pokoju.

Dochodziła dwudziesta druga trzydzieści. Stałem przed pokojem numer 133. Serce biło tak głośno, jakbym przebiegł właśnie czterysta metrów przez płotki. Nie wiedziałem tylko, czego tak bardzo się bałem. Tego, że mnie złapią na żeńskim piętrze, czy może tego, co mnie czeka za tymi drzwiami?

Nie wiem dotąd.

Powiedziałem sobie, by dodać otuchy, że lepiej jest żałować, że się coś zrobiło, niż tego, że czegoś się nie zrobiło! Zapukałem najciszej jak tylko umiałem, i wszedłem. Drzwi lekko skrzypnęły. Strach i gotujący się w nadnerczach testosteron jak pudło gitary mnożyły ten dźwięk, przeistaczając go w ogromny hałas.

W jej pokoju panowała zupełna ciemność. Współlokatorka była chora, więc Monika miała wolną chatę. Przekręciłem klucz. Czekalem, aż oczy przywykną do mroku. Nim zdążyły, usłyszałem miękki głos:

– Już myślałam, że nie przyjdiesz. Wiesz, że chyba bym cię zabiła?

Byłaby to pierwsza zbrodnia z miłości w tym internacie. Pierwsza w ogóle. Wstała z łóżka. Wnioskowałem po odgłosach, bo nadal byłem ślepy jak kret. Podeszła do mnie. Stała naprzeciw. Objęła. Poczulem jej dłonie na ramionach.

– Zdejmij to!

Szybkim ruchem zdjęła moją koszulkę. Oczy przyzwyczaiły się do ciemności. Miałem na sobie tylko skąpe sportowe szorty. Pocałowała mnie w

usta. Jej dłonie błądziły po moim ciele, wędrowały na ramionach, na plecach, na szyi. Poczulem, jak palce wślizgują się pod pasek spodenek. Patrząc na mnie, powoli je zdjęła. Stała ode mnie dwadzieścia centymetrów w tyłu w białych majtkach. Po chwili zrobiła krok w tył, ujęła je długimi palcami i zdjęła tę ostatnią część bielizny. Stała teraz przede mną jak Ewa, a ja przy niej byłem jej Adamem. Dotknęła cudownie chłodnymi rękoma mojej dłoni, tak jak matka prowadzi syna pierwszego dnia do przedszkola, i poprowadziła nas do łóżka.

– Chodź – szepnęła mi cicho do ucha. – Nie bój się.

Położyliśmy się obok siebie. Wplotła nogę w moje nogi, tak jak czynić zwykli to tylko kochankowie. Leżeliśmy tak, patrząc na siebie, nic nie mówiąc, ciesząc się bliskością naszych ciał. Leżała obok mnie kobieta tak piękna, jakby wyjęta prosto spod dłuta greckiego rzeźbiarza, Wenus, Afrodyta. Monika!

Kiedy nasze usta się spotkały, teraz były już spokojne jak liście wierzby letniego, bezwietrznego wieczoru. Cisza, zupełny bezruch – smakowały się